

POLSKIE SIŁY ZBROJNE NA ZACHODZIE

Z JERZYM KIRSZAKIEM I PAWŁEM WIECZORKIEWICZEM
ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Jaki jest dotychczasowy stan wiedzy o Polskich Siłach Zbrojnych na obczyźnie? To pytanie pozornie jest proste, ale...



P.W. – Jako odbiorcy historii najnowszej, również II wojny światowej, żyjemy w świecie totalnej mitologii, wiążącej się z zaszciościami politycznymi. Uprawiali ją komuniści, kreując np. obraz wojny polskiej niemający wiele wspólnego z rzeczywistością. Cały dorobek do 1956 r. w tej dziedzinie po prostu można wyrzucić za okno. Potem bywało różnie, wydawano nawet bardzo porządne książki, np. Mariana Porwita *Rozważania o kampanii wrześniowej*, ale to raczej rodzynek. Mitologię uprawiano także na Zachodzie, na nie mniejszą skalę. W sztandarowym wielotomowym dziele *Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej* jest mnóstwo luk – sprawy niewygodne przemilczano. Historię wojny fałszowano zatem w Warszawie i zdarzało się to także w Londynie – np. po 1945 r.

na polecenie gen. Władysława Andersa „obrabiano” akta II Korpusu dotyczące bitwy pod Monte Cassino. Tworzono je *ex post* na nowo, tak żeby usprawiedliwiały straty i dawały dowody znakomitego dowodzenia. Historiografia polska, czego nie wyeksplikowano po roku 1989, właściwie stanęła przed zadaniem napisania dziejów Polski w okresie II wojny światowej na nowo i od początku.

B.P. – Postąpił się pan przykładem drastycznym, ale nie jedynym chyba, że historię tę trzeba rekonstruować. Zaczniemy więc od klęski wrześniowej – armia polska, zdziesiątkowana, do niewoli jednego i drugiego agresora trafiły tysiące żołnierzy, dowództwo znalazło się poza terenem Polski.



J.K. – Warto przypomnieć, że walki z Niemcami toczyły się jeszcze w październiku, więc termin „kampania wrześniowa” nie jest całkiem precyzyjny.

P.W. – Cofnę się na chwilę do stanu sprzed klęski 1939 r. Nie zostały jeszcze opublikowane badania młodego historyka Tymoteusza Pawłowskiego, który dokonał analizy polskich przygotowań wojskowych do wojny 1939 r. Wnioski są rewelacyjne. Wynika z nich, a są to poważne badania źródłowe, że armia polska była jedną z najnowocześniejszych, plasującą się wówczas na piątym, szóstym miejscu w skali światowej, o czym rzadko mówi się w syntezach.

B.P. – Proszę o podanie argumentów stanowiących o potędze polskiego wojska w przededniu wojny.

P.W. – Przede wszystkim było to wojsko liczebne, stosunkowo dobrze wyszkolone i, uwaga, bardzo dobrze wyposażone w broń techniczną. Jeśli chodzi o broń pancerną, dysproporcja między Niemcami a Polską była co prawda jak cztery do jednego, ale nasze czołgi 7 TP dawały sobie praktycznie radę z ogromną większością niemieckich pojazdów pancernych, które poszły na front. Polskie były lepsze.

B.P. – To jak to się stało, że ta świetna armia doznała klęski?

P.W. – Po pierwsze, ponownie należy podjąć dyskusję, którą w swoim czasie próbował zainicjować Leszek Moczulski w znakomitej *Wojnie polskiej*. Zatem gdyby 17 września nie nastąpił atak sowiecki, czy kampania polsko-niemiecka nie znalazłaby się w punkcie zwrotnym, w którym Polacy zyskaliby szansę na stawianie skutecznego oporu Niemcom przez dłuższy czas? Otwarte jest pytanie, jak zachowałiby się wówczas Francuzi. I drugi element – trafiliśmy na najnowocześniejszą i najlepszą armię świata. A nasze wojsko było szykowane przede wszystkim do wojny ze Związkiem Sowieckim, przynajmniej do pewnego momentu. W 1939 r. potrafilibyśmy na pewno odeprzeć, i to z dużymi sukcesami, agresję sowiecką, nawet przy ogromnej dysproporcji liczebnej...

J.K. – ...zakładając oczywiście, że świetnie opracowany plan mobilizacyjny „W” byłby wprowadzony na czas, nie tak, jak to miało miejsce w wypadku mobilizacji przeciw Niemcom. Jednak gdyby wojna polsko-sowiecka miała przeciągnąć się w czasie, nie przesądzałbym jej ostatecznego wyniku, to znaczy nie jestem pewien polskiego zwycięstwa.

Oprócz spóźnionej mobilizacji (to – moim zdaniem – jeden z ważniejszych powodów naszej klęski) jest jeszcze jedna rzecz. Otóż do tej pory historycy zastanawiają się, czy marszałek Rydz-Śmigły postąpił słusznie, decydując się na dyslokację armii wbrew elementarnym zasadom sztuki wojennej, co podyktowane było względami politycznymi. Mam tu na myśli rozstawienie od razu gros armii wianuszkciem wzdłuż całej granicy polsko-niemieckiej, co nawet dla mniej zdolnych sztabowców było nonsensem. Ze względów strategicznych korzystniejsze byłoby ustawienie głównych sił za Wisłą, a wzdłuż granic postawienie jedynie oddziałów osłonowych. Rydz-Śmigły wybrał gorsze ustawienie, chciał od razu twardo bić się na zachodnich rubieżach, gdyż nie można było wówczas wykluczyć, że Niemcy – po zajęciu Pomorza, Wielkopolski i Śląska – nie zatrzymają swego pochodu. Pacyfistycznie nastawiony Zachód gotów byłby usankcjonować ten zabór i wycofać się z wojny, przeprowadzając jakieś nowe „Monachium”. Takie rozumowanie nie było wówczas pozbawione sensu.

P.W. – Dodajmy jeszcze jeden element, o którym łatwo zapomnieć – że Pan Bóg był, jak zawsze, po stronie silniejszych batalionów. Warunki atmosferyczne były skrajnie niesprzyjające stronie polskiej i faworyzujące niemiecką. Bardzo szczególna była ta jesień 1939 r., bardzo ciepła, bezchmurna, bezdeszczowa – płytkie rzeki i jedno wielkie klepisko, po którym czołgi mogły jechać bez przeszkód, a samoloty latać cały dzień.

B.P. – Po klęsce żołnierze starali się przedostać na Zachód. Rozpoczęło się formowanie polskich sił zbrojnych we Francji.

J.K. – Dla ścisłości, żołnierze początkowo podążają w kierunku południowym...

P.W. – ...albo, co prawda znacznie rzadziej, na północ, przez kraje bałtyckie.

J.K. – O sformowaniu we Francji jednej polskiej dywizji zdecydowano podczas polsko-francuskich rozmów sztabowych w maju 1939 r., przy okazji wizyty ministra spraw wojskowych generała Tadeusza Kasprzyckiego w Paryżu. Doprecyzowała to umowa polsko-francuska, zawarta 9 września 1939 r. w Paryżu, mocą której rozpoczęto formowanie dywizji piechoty. W tym samym dniu rozpoczęła się bitwa nad Bzurą. Choć polskie wojska ponosiły już poważne straty, to jeszcze kampania nie była rozstrzygnięta, różnie mogłoby to być. A decyzja sformowania dywizji zapadła jeszcze przed wybuchem wojny...

P.W. – ...żeby wykorzystać potencjał Polonii francuskiej. Przed wybuchem wojny do Wielkiej Brytanii został wyekspediowany dywizjon kontrtorpedowców, co było decyzją mądrą, przewidującą, strategiczną, w kategoriach również politycznych, nie tylko wojskowych. Podjęto ją dowództwo Marynarki Wojennej wraz z Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych. Te okręty były budowane na wojnę ze Związkiem Sowieckim, z Kriegsmarine nie miały większej szansy, mogły tylko dzielnie zginąć. Pozwoliło to na stworzenia zalążka Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, *notabene* dzięki temu mamy ciągłość walki od 1 września do końca wojny w Europie.

J.K. – Odplynęły trzy z czterech polskich kontrtorpedowców. My teraz wiemy, że to była słuszną decyzją, ale w listopadzie 1939 r., podczas pierwszej inspekcji uratowanych z Polski okrętów przez dowódcę marynarki kontradmirała Jerzego Świrskiego, spotkał go afront ze strony marynarzy okrętu podwodnego „Wilk”. Jego dowódca, kapitan Bogusław Krawczyk, zachował się niestosownie wobec swojego przełożonego, zarzucając mu, że rozkaz wyprowadzenia okrętów był zdradą i porzuceniem tych, co pozostali i topili się na wodach Bałtyku.

P.W. – Krawczyk był bardzo dzielnym oficerem, ale wypowiedział tutaj wierutne głupstwo. Te kontrtorpedowce to oczywiście nie była siła, która jakkolwiek znaczyła w potencjale brytyjskiej Royal Navy, ale ta „mała flota”, jak trafnie nazwał ją Jerzy Perek, pokazywała banderę we wszystkich ważniejszych operacjach morskich II wojny światowej. Bo choć z punktu widzenia polskiej racji stanu nie byliśmy w stanie wygrać wojny tymi siłami, które mieliśmy na frontach zachodnich, to ważne było właśnie pokazywanie obecności, bo to dawało atut polityczny. Nasza marynarka wspaniale odgrywała taką rolę.

B.P. – Jak wyglądały początki Polskich Sił Zbrojnych?

J.K. – W początkach sierpnia polski Sztab Główny zapowiedział wysłanie do Francji na dowódcę powstającej tam dywizji generała Jerzego Ferek-Błęszyńskiego z trzydziestoma oficerami i trzystoma podoficerami, którzy mieli stanowić kadre. Żołnierzami mieli być obywatele polscy rezydujący we Francji, z czasem również z Belgii. We wrześniu rozpoczęto formowanie późniejszej 1. Dywizji Piechoty, która z czasem przekształciła się w słynną 1. Dywizję Grenadierów.

Rekrutacja do dywizji przebiegała sprawnie: drogą poboru – przez powołanie znajdujących się we Francji oficerów, podoficerów i szeregowych rezerwy oraz przez zgłoszenia

ochotnicze – ochotnikami byli polscy żołnierze, którzy przedostali się w większości przez Węgry, Rumunię czy w mniejszym stopniu przez kraje północne.

P.W. – Obywatele polscy polskiego pochodzenia, Polacy, mniej czy bardziej chętnie, ale stawiali się do tego wojska. Nie tak prosto wyglądała sprawa z Ukraińcami, Białorusinami, a najgorzej było z Żydami, którzy nie chcieli bić się pod polskimi sztandarami. Była pewna niewspółmierność w postawach żołnierzy stanowiących załóżek PSZ – z jednej strony żołnierze wrześniowi, którzy ryzykując życie, przedzierali się przez pół Europy, żeby walczyć dalej, było to wojsko najwyższej klasy, a z drugiej – poborowi z musu, którzy często z Polską mieli już dość luźny kontakt.

B.P. – Znam relacje osób z Harbina, gdzie już w pierwszych dniach września spontanicznie zebrała się grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy chcieli znaleźć się w polskim wojsku.

J.K. – Ci z Harbina, *notabene* byli wśród nich i tacy, którzy Polski nigdy nie widzieli, zdążyli do polskiego wojska już po upadku Francji i ostatecznie trafili do Brygady Karpackiej pułkownika, wkrótce generała, Stanisława Kopańskiego. Dla nich to była wielka wyprawa. Jeśli chodzi o Ukraińców, to na przełomie 1939 i 1940 r. był plan stworzenia z tych, którzy już dostali się do Francji i przebywali w obozach internowania na Węgrzech i w Rumunii, oddziału ukraińskiego przy Armii Polskiej. W grę wchodził batalion, maksymalnie pułk złożony z Ukraińców, którzy mieliby na mundurze godło państwowe polskie, a obok godło ukraińskie, komendę i duszpasterstwo w języku ukraińskim (sformowane następnie w Armii Polskiej na Wschodzie). Wyższe dowództwo, złożone z oficerów znających ukraiński, miało być polskie, niższe szarże i kadra podoficerska ukraińska. Ostatecznie pomysł nie został zrealizowany, przeważyły opinie niechętnych tej koncepcji polityków Stronnictwa Narodowego. Problem zdezaktualizował upadek Francji.

P.W. – Rozpoczęła się „wojna zimowa”, w listopadzie 1939 r. Związek Sowiecki uderza na Finlandię. Istniały plany dowództwa alianckiego wystąpienia tam Polaków. Bardzo żałuję, że się tak nie stało. Myślę, że zaakcentowanie polskiego udziału w wojnie ze Związkiem Sowieckim uniemożliwiłoby tak fatalne rozwiązanie stosunków polsko-sowieckich w 1941 r. Wtedy trzeba byłoby podpisywać pokój. Pomysł sformowania pułku czy batalionu ukraińskiego wiązałbym z tym planem, bo my byliśmy *de facto* w stanie wojny ze Związkiem Sowieckim. Do lata 1941 r. mieliśmy dwóch wrogów, nie jednego. Z Sowiecami trudno było walczyć, bo nie bardzo było gdzie, a nasi alianci przecież z nimi w ogóle nie walczyli. Ale to był wróg, najlepszy sojusznik Hitlera, i tak trzeba było to państwo traktować. Zresztą cała polityka sowiecka w stosunku do Polski dowodziła, że taka ocena była słuszna.

J.K. – Nie tylko to, że Polacy nie wzięli udziału w wojnie fińskiej, było stratą, ale i to, że nie wzięli w niej bezpośredniego udziału także alianci, którzy przecież do tego celu formowali mieszany korpus ekspedycyjny. Gdyby w tych działaniach połała się krew Francuzów i Brytyjczyków, to z pewnością inaczej wyglądałyby później ich rozmowy ze Stalinem.

P.W. – W obozie aliantów pojawiały się pomysły trochę napoleońskie, żeby na różnych frontach przyszłej wojny z Sowiecami postugiwać się Polakami. Po to była formowana Bry-

gada Podhalańska, żeby ruszyć do Finlandii. Karpacka Brygada miała z kolei uczestniczyć w alianckim uderzeniu na Baku i na Kaukaz. Podobnie było z polską marynarką. Ponieważ była za słaba, żeby dać sobie radę z sowiecką Flotą Północną, planowano formalne oddanie pod banderę polską trzech krążowników francuskich, które miały tam działać z francuskimi załogami.

B.P. – Przejdźmy do klęski Francji i związanych z tym losów polskich żołnierzy.

P.W. – Klęskę Francji oddaje dobrze historia, którą opisuje bodaj gen. Franciszek Skibiński w swoich pamiętnikach. Otóż przedzierający się do atlantyckich portów polscy oficerowie zauważyli szlochającego żołnierza francuskiego. Był obwieszony medalami, widać, że to komatant I wojny światowej, bardzo dzielny. Zbliżyli się i okazało się, że to był Senegalczyk, który płakał nad losem swojej wielkiej francuskiej ojczyzny. Francuzi nie płakali, wręcz przeciwnie. To oczywiście skrajne uproszczenie i bardzo niesprawiedliwe, bo wbrew temu, co się u nas sądzi, armia francuska biła się na podobnym poziomie jak polska. W tej kampanii Niemcom wyjątkowo sprzyjało szczęście wojenne. Być może w historii wojskowości nie ma drugiego takiego przykładu, żeby przy wyrównanych siłach wszystkie kolejne etapy wojny rozgrywały się na korzyść jednej strony. I efekt był porażający. Najsilniejsza armia świata, za jaką uchodziła armia francuska, została rozbita w ciągu miesiąca. W tej kolejnej tragicznej przegranej uczestniczyli dzielni, na ogół dobrze się bijący Polacy. Na front posłano dwie dywizje piechoty, brygadę Maczka, Brygadę Podhalańską, która miała bronić Bretanii i tam została rozproszona, i lotników. I to, co Naczelnemu Wodzowi, Władysławowi Sikorskiemu, udało się w zimie 1939/1940 zorganizować i zebrać, zostało zaprzepaszczone i stało się powodem bardzo ostrego ataku na niego: że dla armii polskiej powtórzył się *de facto* rok wrzesień 1939 r.

J.K. – Dla wielu Polaków klęska Francji była chyba jeszcze większym szokiem niż kampania wrześniowa. Pan wspominał o Naczelnym Wodzu. Trzeba pamiętać, że wszystkie sprawy związane z wojskiem muszą być rozpatrywane w powiązaniu z polityką. Klęskę wrześniową niektórzy ludzie z otoczenia Władysława Sikorskiego, a i on sam również, zaczęli wygrywać dla różnych celów politycznych, zrzucając winę i odpowiedzialność, w mniejszym czy większym stopniu uzasadnioną, na przedwrześniowe kierownictwo armii i państwa. Dochodziło do różnych absurdów, które odbijały się także na formowaniu wojska na obczyźnie. Znamy bardzo wiele przykładów świetnych dowódców o tzw. sanacyjnym pochodzeniu, którzy zostali od wojska odsunięci. I odwrotnie, ludzie, którzy po 1926 r. znaleźli się na bruku, przyszli z powrotem w łaski i znów nic z tego dobrego nie wychodziło.

B.P. – Czy to znaczy, że polityka determinowała funkcjonowanie wojska?

P.W. – W wojsku poniżej stopnia pułkownika nie było „sanatorów”. Byli to po prostu oficerowie, którzy służyli w armii Marszałka Piłsudskiego, a potem Rydza-Śmigłego, którym otoczenie Sikorskiego i on sam uczynili z tego koronny zarzut.

J.K. – Przytoczę ciekawy przypadek jednego z „sanatorów”, byłego ambasadora w Berlinie, Józefa Lipskiego. Po wrześniu nie otrzymał przydziału do służby dyplomatycznej i zgłosił się na ochotnika do odtwarzanego wojska jako zwykły żołnierz. Później ukończył podchorąż-

żówkę i wziął udział w walkach, zresztą bardzo dzielnie, bo został odznaczony czterokrotnie Krzyżem Walecznych. A był to pan jak na podchorążego w wieku dość zaawansowanym, bo przed pięćdziesiątką.

P.W. – Jest taka anegdotka, która pokazuje nastawienie „sikorszczyków” do nowej sytuacji, o dość odrażającej postaci, zaufanym Sikorskiego mianowanym na wiceministra spraw wojskowych, pułkownika Izidorze Modelskim. Przyjmuje jednego ze swoich najbliższych przyjaciół, który przedarł się z Polski, ten pada mu w ramiona ze łzami, z okrzykiem – „Lziu, my nareszcie tym s...synom pokażemy!”. Właśnie na zasadzie dintojry, to trzeba po imieniu nazwać, odbyło się formowanie armii. Zatrącono wszelki umiar. Co więcej, zarzucono doświadczenia płynące z kampanii 1939 r., które mogły być przydatne nawet dla Francuzów, bo skoro sami Polacy bili się w piersi i uprawiali czarną propagandę, to narażali się na lekceważenie.

J.K. – Dla współczesnych historyków jest i pozytywny skutek tej „dintojry”, czyli działalności niestawnej pamięci „Komisji powołanej w związku z wynikami kampanii wrześniowej”, a wcześniej Biura Rejestracyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, kierowanego właśnie przez Modelskiego. Chodzi mi o zarządzenie, by oficerowie, którzy przedostali się do Francji, pisali raporty ze swojego udziału w kampanii wrześniowej. Raporty te były pisane głównie po to, żeby znaleźć ewentualne dowody na pociągnięcie do odpowiedzialności „winnych” katastrofy narodowej. Materiały te w większości ocalały, są przechowywane w Instytucie Sikorskiego w Londynie, i obecnie stanowią bezcenne źródło do dziejów kampanii wrześniowej, gdyż pisane w miarę krótko po wrześniu, nie były skażone upływem czasu.

B.P. – **Polityka ciążyła nie tylko nad ludźmi, którzy tworzyli Polskie Siły Zbrojne. Ciążyła również nad naszymi sojusznikami, wspomnę choćby trudności z naborem żołnierzy wywodzących się z Polonii amerykańskiej czy o stosunku Anglików do polskiego wojska.**

P.W. – To było kilkuset ludzi, co w porównaniu z tym, co działo się dwadzieścia parę lat wcześniej, u schyłku I wojny światowej, z zacięciem do armii hallerowskiej, było kompletnym fiaskiem. Wynikało to z ogromnego błędów politycznych władz przedwojennej Polski. Chodziło o nierozliczenie praw kombatanckich ochotników amerykańskich polskiego pochodzenia z I wojny światowej. Szli na wojnę w najbardziej patriotycznych zamiarach, a potem jako inwalidzi wojenni żyli bez pracy i bez renty. Tak stało się z hallerczykami. Nadto Stany Zjednoczone były krajem neutralnym i w miarę ściśle starały się tej neutralności w owym czasie przestrzegać. Dlatego ta rekrutacja była trudna.

Dla Anglików każdy żołnierz polski był na wagę złota. Dwadzieścia tysięcy wyszkolonych polskich żołnierzy, którzy znaleźli się w Wielkiej Brytanii, to był dla rozbrojonej faktycznie Anglii (gdyż straciła pod Dunkierką niemal całe siły lądowe) niezwykle ważny zastrzyk. Wówczas wojsko polskie było w najwyższej cenie, odgrywało rolę strategiczną. To byli także polscy lotnicy ewakuowani z Francji i nasza marynarka, która od początku działała w bazach brytyjskich. I jeszcze Brygada Karpacka, która uratowała się z Syrii, przeszła do Palestyny. Te dwadzieścia tysięcy, jak na skalę II wojny światowej, to tyle co nic. Pamiętajmy jednak, że relacja między skutecznością a liczebnością wojska jest rzeczą zmienną. Kilka tysięcy ludzi wiele znaczyło w kampanii afrykańskiej z lat 1941 i 1942, a nawet kilkanaście

tyśięcy nie oznaczało niczego na froncie wschodnim. Na początku wojny Polskie Siły Zbrojne oprócz swej roli militarnej, wojskowej, miały też rolę polityczną i propagandową.

J.K. – Nie powtórzyło się już nigdy w relacjach polsko-brytyjskich nic takiego jak ten rok – od czerwca 1940 do czerwca 1941. Dla Anglików było bardzo ważne, że nie są osamotnieni, że są jeszcze jacyś żołnierze, którzy, mimo iż przeszli dwie klęski, dalej chcą walczyć. Znaczyło to dla Anglików, że skoro Polacy nadal wierzą w zwycięstwo, to jest ono realne. Tym samym wzrastało angielskie morale, tak ważne w przełomowym momencie. Byliśmy wówczas bardzo cenionym sojusznikiem. A w Szkocji, gdzie obronę części wybrzeża powierzono Polakom, przełożyło się to nie tylko na związki ściśle militarne.

B.P. – Proszę o opisanie strony finansowej funkcjonowania polskiego wojska. Mieliśmy uratowany zasób polskiego złota, udzielano nam przecież pożyczek.

P.W. – Które potem Brytyjczycy bardzo starannie odebrali, konfiskując właśnie część tego złota, gdy wracało do Warszawy. Wszystkie armie sojusznicze, a było ich wiele w Wielkiej Brytanii – Holendrzy, Belgowie, Norwegowie, Francuzi, Czesi i ich znakomici lotnicy, o czym trzeba pamiętać, przy naszym lekceważącym stosunku do Czechów i Słowaków – otrzymały na własność, jakby w prezencie, sprzęt bojowy, na którym walczyły. Polacy nie doznali tej hojności. Co prawda Polska znalazła się w strefie sowieckiej, ale przecież Czechosłowacja też. Inna sprawa, że ich rząd wrócił z Londynu, a prezydent Raczkiewicz z Londynu nie wrócił. Brytyjczycy zachowali się tutaj jak lichwiarze. Pamiętajmy jednak, że ten sojusz był w naszym żywotnym interesie politycznym. My musieliśmy się bić.

J.K. – Ale czy do samego końca?

P.W. – A to jest zupełnie inna sprawa.

B.P. – Losy wojny mogły rozstrzygnąć się w Anglii...

P.W. – W sensie negatywnym – jeśli Niemcy wylądują w Anglii, to wygrywają wojnę. Niektórzy politycy, np. przywódca narodowców Tadeusz Bielecki, tak na to patrzyli. Anglia to wielkie mocarstwo, ale pozbawione armii, a tuż za kanałem La Manche najlepsze wojsko świata. Przygotowania do inwazji sły, pozornie przynajmniej, pełną parą. To wszystko napawało Brytyjczyków przerażeniem. Mieli solidnego stracha. Wszystko rozstrzygnęło się w powietrzu. Niemcy mogli wygrać bitwę o Anglię. Przegrali ją na skutek własnych błędów, na własne życzenie. I tutaj znaczną rolę miał udział pilotów polskich. Stanowiący niespełna 10 proc. personelu RAF Polacy zestrzelili więcej niż 10 proc. samolotów niemieckich w całej bitwie. A pamiętajmy, że weszli do bitwy później niż piloci brytyjscy, w jej drugiej fazie, mieli mniej czasu na osiągnięcie tego sukcesu...

J.K. – ...Dywizjon 302 wszedł jeszcze później, pod koniec bitwy.

P.W. – Dywizjon 303 miał to szczęście, że wszedł do bitwy w jej kluczowym, najbardziej newralgicznym momencie i uzyskał najwięcej zestrzeleń w RAF. Te 10 proc. zestrzeleń przesądziło o wyniku bitwy, bo naprawdę jej losy wahały się do końca. Czy my z natury rzeczy

jesteśmy tak wspaniałymi lotnikami? Chyba nie, ale polscy piloci byli znacznie lepiej wyszkoleni, ostrzelani, reprezentowali wyższy poziom profesjonalny niż piloci brytyjscy, którzy w znacznej większości pochodzili z zaciągów 1939–1940, z ochotniczej rezerwy Królewskich Sił Powietrznych, a każdy Polak przeszedł przez kampanię z 1939 r. i przez kampanię francuską, czyli miał ogromne doświadczenie bojowe i mógł śmiało stanąć przeciwko Niemcom, którzy mieli to samo mniej więcej doświadczenie.

Polaków wtedy uwielbiano, w Londynie noszono ich na rękach. Przytoczę anegdotkę – w 1946 r. w ramach demobilizacji PSZ jeden z pilotów polskich ubiegał się o pozostanie w Wielkiej Brytanii. Odpowiedni urzędnik imigracyjny pytał go, a cóż pan robił w czasie wojny? On trochę się zdziwił. – Czy przebywał pan w Wielkiej Brytanii? – Nie, raczej w powietrzu. To był stosunek do Polaków po 1945 r., kiedy traktowano nas jako konkurentów na rynku pracy, lżono, poniewierano, atakowano. Angielska pamięć była bardzo krótka i selektywna.

J.K. – Choć w Szkocji trochę sentymentu, nawet po 1945 r., do Polaków pozostało.

P.W. – No bo było dobrych kilka tysięcy wspólnych dzieci.

J.K. – Tak naprawdę polsko-brytyjska sielanka skończyła się jednego dnia – z jednej strony pięknego dla Polaków, a z drugiej strony tragicznego – czyli 22 czerwca 1941 r., kiedy sojusze wyruciły się do góry nogami. Już tego samego dnia Churchill, bez konsultacji z rządem polskim, przemówił przez radio...

P.W. – ...wyciągając obie ręce do Stalina, tak można to określić...

J.K. – ...i mówiąc, że udzieli mu każdej pomocy.

P.W. – Brytyjczycy nawiązując stosunki, potem traktaty ze Związkiem Sowieckim, pogwałcili wszystkie akty polsko-brytyjskie, zwłaszcza pakt sojuszniczy, który nas wepchnął do wojny w 1939 r., stanowiące, że ze stroną trzecią bez wzajemnej konsultacji nie będą zawierane żadne układy. Brytyjczycy zawarli porozumienie z Sowietami ponad naszą głową, co oznaczało podeptanie sojuszniczej umowy polsko-brytyjskiej. Od tego momentu zaczyna się katastrofa. Do czasu, kiedy Związek Sowiecki nie był obiektem tej wojny, czy raczej uczestniczył w niej po stronie niemieckiej, Polska odgrywała istotną rolę polityczną. W momencie wejścia do koalicji Stalina nasza rola spadła praktycznie do zera. Polska stała się przedmiotem polityki, już nie niemieckiej, ale tzw. alianckiej czy międzysojuszniczej. To odwrotna sytuacja z I wojny – gdy Rosja znikła z firmamentu politycznego, rola Polski zaczęła wówczas gwałtownie rosnąć.

J.K. – Teraz powstała absolutnie absurdalna sytuacja – jest rząd uznawany praktycznie przez cały świat, jest wojsko, a Polska się zapada politycznie.

P.W. – W tej sytuacji gen. Sikorski wpadł na dobry pomysł, żeby ratować Polaków w Rosji, stworzyć przy okazji wojsko polskie, armię, która wyzwoli Polskę ze wschodu i z drugiej strony zablokuje drogę Sowietom. Była to bardzo zdrowa politycznie myśl.

J.K. – Jednak pierwszy z tą koncepcją wystąpił gen. Kazimierz Sosnkowski, który już 22 czerwca 1941 r. napisał list do swego kolegi, generała Sikorskiego, że zawarcie po-

rozumienia ze Związkiem Sowieckim i utworzenie tam armii jest dla Polski bardzo korzystne. Warunkował jednak taki układ zagwarantowaniem przez ZSRS granic sprzed września 1939 r. Zwracam uwagę na datę, to było 22 czerwca, zanim rząd polski zaczął rozważać sprawę paktu sowiecko-polskiego. Ostatecznie gen. Sikorski, ponaglany przez Anglików, odstąpił od tego warunku i 30 lipca 1941 r., bez zgody prezydenta RP Władysława Raczkiewicza i wbrew protestom ministrów Mariana Seydy, Kazimierza Sosnkowskiego i Augusta Zaleskiego, podpisał tzw. układ Sikorski-Majski.

Sosnkowski domagał się, żeby – dwuznacznie sformułowany – punkt 1 umowy w niebudzący wątpliwości sposób potwierdzał stan prawny z lipca 1939 r. w sprawie granic polsko-sowieckich. Wobec odrzucenia tego warunku przez premiera Sikorskiego, Sosnkowski, Zaleski i Seyda podali się do dymisji z rządu.

B.P. – Czy przy bardziej stanowczej postawie wobec Sowieców istniała możliwość tworzenia armii, wyciągnięcia tych ludzi z łagrów i zesłania?

J.K. – Moim zdaniem, tak.

P.W. – Zgadzam się. Do końca nie wiemy nic o intencjach sowieckich, znamy czynki, ale nie znamy myśli. Ale istnieje źródło, bardzo ciekawa relacja generała Mariana Januszajtisa-Żegoty, który wtedy siedział na Łubiance. Rozmawiał z nim Beria, który powiedział mu po podpisaniu traktatu, zresztą wcześniej szydząc z niego: „ustąpicie, ustąpicie”, że gdyby Polacy poczekali jeszcze trochę, Sowieci musieliby podpisać układ na polskich warunkach, czyli uznając bieg granicy wschodniej sprzed 17 września. Inna sprawa, że Stalin miałby potem wiele okazji, żeby taki układ zrewidować, tak jak odebrał Czechom Zakarpacie.

J.K. – Tak, ale wtedy świat dowiedziałby się, że Stalin łamie prawo i swoje słowo. Do końca wojny w zasadzie wszystko wyglądało w ten sposób, że to myśmy sami się podkładali przez różne ustępstwa na rzecz Sowieców, ułatwiając tym samym Anglikom wykręcenie się z przyjętych zobowiązań traktatowych. Nie próbowaliśmy tworzyć okazji, by wykazać Zachodowi, że Stalin jest wiarołomny.

Relacja Januszajtisa jest świetnym źródłem również dlatego, bo często na układ Sikorski-Majski patrzymy przez pryzmat ludzi siedzących w sowieckich więzieniach czy łagrach, dla których układ ten był zbawieniem. Władysław Anders w 1941 r. nie zostawił suchej nitki na Sosnkowskim, uważając go za tego, któremu nie zależy na wyciągnięciu Polaków z łagrów i więzień. A tu, głos więźnia Januszajtisa – dla którego zwolnienie było żywotną sprawą – który dostrzega, że formuła układu jest bardzo niebezpieczna, bo zostawia Sowiecom otwartą furtkę, a nawet bramę.

P.W. – Układ został zawarty na takiej zasadzie: pozostawiamy na boku sprawę granic, rozumiemy ją po swojemu. W „polskim Londynie” była świadomość, że Sowieci rozumieją ją w inny sposób, bo dawali temu wyraz. Ale zakłajstrowano całą rzecz, żeby nie czynić wyłomu w całym obozie alianckim. Fatalnie zaciżyło to potem na polityce polskiej, przynajmniej do końca 1942 r. Chodzi tu o mit jedności alianckiej – żeby nie powodować kłótni międzyalianckich, Sikorski szedł na bardzo daleko idące kompromisy z Sowiecami.

J.K. – W zamian nie dostając nic. Prowadzono politykę podporządkowaną imperatywowi niezadzierania z Zachodem, który przecież „nie da nas skrzywdzić”.

P.W. – Sikorski wyprowadził część wojska z ZSRS do Iranu – zupełnie słusznie, bo tu nie było broni, nie było warunków szkoleniowych, ludzie umierali z głodu, z zimna – ratując tych ludzi i wzmacniając potencjał Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Plan Sikorskiego zakładał jednak zachowanie części wojska w Związku Sowieckim, co zablokowałoby Stalinowi możliwość rozgrywania sprawy polskiej tak, jak by to chciał. Przypomnę, że wojska podległe komitetowi czeskiemu w Londynie pozostaną w Związku Sowieckim i Benesz wróci do Pragi. Było rzeczą jasną, że jeśli armia Andersa zostanie w Związku Sowieckim i dojdzie do Warszawy od wschodu, to dla Sowietów będzie to duży problem. Nie da się wtedy odbierać Kresów. To mogło być bardzo niewygodne dla Stalina.

Wojsko Polskie, tych kilka dywizji, sto tysięcy ludzi odegrało bardzo istotną rolę, bo Brytyjczycy cierpieli w 1942 r. na dotkliwy brak wojska na Bliskim Wschodzie, a Rommel pukał już do bram Kanatu Sueskiego. Polskie wojsko było zatem potrzebne Churchillowi na Bliskim Wschodzie, a jednocześnie było absolutnie zbędne Stalinowi, który zrobił wszystko, żeby się go pozbyć. W tle tego wszystkiego jest jeszcze sprawa katyńska. Stalin wie, Polacy się domyślają, Brytyjczycy też wiedzą, praktycznie już w 1940 r. To jest bomba z opóźnionym zapłonem, która jeszcze nie eksploduje, i Sikorski chce, żeby wojsko zostało. Anders jednak, wychodząc z przesłanek, które trudno byłoby w tej chwili przeanalizować, bo jest za mało danych, żeby dowiedzieć się, czym do końca się powodował, idzie na rękę Stalinowi i wyprowadza wojsko. Zastanówmy się, co byłoby, gdyby Niemcy ogłosili zbrodnię katyńską w chwili, gdy armia Andersa znajdowała się w Związku Sowieckim. Trudno sobie wyobrazić, żeby Anders pojechał do Katynia i uznał, że zrobili to Niemcy, chociaż w polityce wszystko jest możliwe, bo to jednak była, niestety, już tylko „polityka”.

B.P. – Zanim pójdziemy śladami armii Andersa, warto przypomnieć uczestnictwo Polaków w działaniach koalicji antyniemieckiej.

P.W. – Polacy walczyli we wszystkich przełomowych momentach II wojny światowej. Walczyli na wielu frontach, co jest korzystne i dobre. Mając coraz słabsze poparcie rządów alianckich, jedno, co nam pozostaje, to aliancka opinia publiczna.

J.K. – Pierwsza do akcji weszła, przygotowywana najpierw do walk w Finlandii, Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich pod dowództwem gen. Zygmunta Bohusza-Szyszko. Będąc w składzie alianckiego korpusu ekspedycyjnego w Norwegii w maju 1940 r., brygada biła się dzielnie i skutecznie pod Narwikiem i Ankenes. Mimo zwycięstwa, wobec pogarszającej się sytuacji we Francji, wycofano ją do Bretanii, gdzie została rozproszona. Do Anglii przedostał się zaledwie jeden batalion, później zaczęli spływać nieliczni rozbitkowie z gen. Bohuszem na czele.

Bardzo dzielnie we Francji biła się, zadając poważne straty Niemcom pod Lagarde, 1. Dywizja Grenadierów pod dowództwem gen. Bronisława Ducha. Dywizja nie została pobita, lecz rozwiązana przez dowódcę, ale również z jej składu na wyspy wydostali się nieliczni. 2. Dywizja Strzelców Pieszycy gen. Bronisława Prugara-Ketlinga po ciężkich walkach przeszła do Szwajcarii, gdzie została internowana. Stanowiła tam swojego rodzaju odwód Naczelnego Wodza i jej żołnierzom zakazano ucieczek z internowania aż do 1944 r. We

Francji walczyła też 10. Brygada Kawalerii Panczernej gen. Stanisława Maczka oraz lotnictwo. Spod francuskiego dowództwa udało się uratować w całości jedynie Brygadę Strzelców Karpackich, która w 1941 r. zastąpiła obroną pustynnej twierdzy w Tobruku.

Wszystko to nie przełożyło się na „politykę”. Tego, co żołnierze wypracowali na polu bitwy, nie potrafili skonsumować politycy, co szczególnie widać w 1944 r.

P.W. – To był rok nie tylko zły, ale wręcz rok klęski. Rok 1943 był rokiem pewnego zastojem na froncie zachodnim. Poza inwazją Włoch, w której brała udział polska marynarka, nie działo się nic wielkiego, kończyła się bitwa o Atlantykę. Polacy bili się w niej nie tylko z honorem, ale też i z dużym szczęściem. Towarzyszyło ono kontrtorpedowcowi „Piorun” w osaczeniu niemieckiego „Bismarcka” – największego i niezwykle groźnego rajdera na Atlantyku, który właśnie uciekał do Francji. Znow pokazano światu polską banderę. „Piorun” wraz z niszczycielami brytyjskimi powstrzymał okręt niemiecki do czasu pojawienia się głównych sił floty brytyjskiej, które go doścignęły i zniszczyły.

J.K. – Takich epizodów było wiele. Przypomnę jeszcze jeden, *à propos* „Bismarcka”. Mało kto pamięta, że Polacy byli pierwszymi, którzy zginęli na skutek działań „Bismarcka”, i ostatnimi, którzy brali udział w jego zatopieniu. Nie mówię tu o „Piorunie”, lecz o brytyjskim pancerniku „Hood”, na którym było czterech stażystów – podchorążych naszej marynarki wojennej. Trzecia salwa „Bismarcka” zatopiła „Hooda”, trafiwszy w komorę amunicyjną, wtedy zginęli Polacy. Zaś honoru zatopienia „Bismarcka” dostąpili inni polscy podchorążowie zaokrętowani m.in. na dobijającym go pancerniku „King George V”.

B.P. – Jak przedstawiał się stan Polskich Sił Zbrojnych?

P.W. – Polaków, którzy wyszli ze Związku Sowieckiego, było około dwustu tysięcy, w tym około stu tysięcy umundurowanych żołnierzy. Stan fizyczny wielu ludzi, będący konsekwencją przebywania w sowieckich łagrach, na zesłaniu, morderczego marszu do punktów zbornych, wycieńczenie ich organizmu spowodowały, że nie nadawali się do służby liniowej. Nie można więc było efektywnie zasilić Polskich Sił Zbrojnych. W lipcu 1943 r., po wchłonięciu Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, stworzono dwudywizyjny II Korpus pod dowództwem Andersa i wzmocniono nieco I Korpus Polski w Wielkiej Brytanii, który składał się faktycznie tylko z 1. Dywizji Panczernej, 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego i z jednostek szkieletowych.

J.K. – Brygada Sosabowskiego stanowiła odwód Naczelnego Wodza i nie wchodziła w skład I Korpusu – tworzone ją z myślą wsparcia powstania w kraju.

W 1944 r. stworzono trzyetapowy plan rozbudowy sił zbrojnych. W sierpniu powstał w Egipcie szkieletowy III Korpus pod dowództwem gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. I chociaż wraz z wyzwaniem Zachodniej Europy znacznie poprawiły się możliwości zaciągu, to ani tego planu, ani nawet rozbudowy istniejących korpusów w zasadzie nie wykonano. Zadecydowali Anglicy, którym rozwój PSZ nie był już na rękę.

P.W. – Planowano „zaciąg niemiecki”, z jeńców polskich z Wehrmachtu. Tu przypominam sobie historię dziadka jednego z moich przyjaciół, który jako młody chłopak był powstańcem śląskim, w 1939 r. walczył w Wojsku Polskim, potem jako Ślązak został zmobilizowa-

ny do Wehrmachtu, walczył pod Monte Cassino w szeregach niemieckich, dostał się do niewoli, chyba celowo, i wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych. Dwukrotnie w czasie II wojny światowej zmieniał mundur z polskiego na niemiecki i z niemieckiego na polski. Nie był to wypadek odosobniony. Warto o tym pamiętać, bo mówimy o udziale Polaków w II wojnie światowej, także o Ślązakach i Polakach zmobilizowanych do Wehrmachtu i Waffen SS. Na ziemiach wcielonych do Rzeszy podlegali oni poborowi do armii niemieckiej, odmowa oznaczała w najlepszym razie obóz koncentracyjny.

J.K. – Znamy wspaniałe wyczyny tych Polaków na froncie wschodnim. Na froncie zachodnim poddawali się do niewoli, na Wschodzie bili się dzielnie. Przytoczę historię jednego z żołnierzy II Korpusu. Pochodził z Górnego Śląska. Wkrótce po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej wcielono go do Wehrmachtu, zachował przy tym stopień gefreitera (starszego strzelca), jaki miał w Wojsku Polskim, i skierowano na front wschodni. Któregoś razu został wysłany na czele swojej drużyny na daleki nocny patrol rozpoznawczy. Po dłuższym marszu przez lasy i łąki natknęli się na zabudowania i trafili na popijawę dowództwa jakiejś rosyjskiej jednostki. Część Sowietów „zlikwidowali” na miejscu, a około dwudziestu znaczniejszych przyprowadzili do niemieckiego dowództwa. Został za to odznaczony Żelaznym Krzyżem II klasy i wysłany na urlop do Jugostawii. Tam skorzystał z okazji, przyłączył się do partyzantów, którzy następnie przerzucili go przez Adriatyk do Włoch. Tu ponownie włożył polski mundur i wziął udział w walkach przeciw Niemcom.

P.W. – Warto przypomnieć uwarunkowania takich brawurowych akcji. Stalin absolutnie kategorycznie, mimo próśb Sikorskiego i Andersa, twierdził, że nie zezwoli na rekrutację Polaków jeńców, że Polacy, którzy są w Wehrmachcie, *de facto* nie są Polakami i nie będzie się ich tak traktować, nie będą mieli żadnych specjalnych praw, nie będzie żadnych zachęt do przechodzenia na stronę sowiecką. Stalin nie chciał wzmocnienia armii polskiej. Interes polityczny, jak wielokrotnie w jego kalkulacjach, był ważniejszy niż interes militarny, bo z punktu widzenia wojskowego można było przynajmniej połowę z tych kilkuset tysięcy ludzi przeciągnąć na stronę sowiecką, co mogło mieć pewne znaczenie wojskowe. Uwarunkowania polityczne nie pozwalały na podejmowanie tej kwestii. Nawet w rozmowach ambasadora Romera w 1943 r., które były ostatnim polsko-sowieckim kontaktem, Stalin był nieustępliwy. Ci ludzie mieli do wyboru śmierć, bo do 1942 r. Sowietci na ogół mordowali jeńców, albo ciężkie tagry. Wybierali walkę do końca.

B.P. – Wspomnijmy w tym kontekście o polskim wojsku walczącym pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga.

P.W. – Zacznę od tego, że Berling został skazany, po samowolnym pozostaniu w ZSRS, prawomocnym wyrokiem na degradację i najwyższą karę za zdradę. Dopuszczył się jej po raz pierwszy w latach 1940–1941, godząc się na utworzenie polskiej dywizji narodowej w ramach sowieckich sił zbrojnych, czyli *de facto* – na utworzenie polskiej republiki socjalistycznej w ramach Związku Sowieckiego. Stalin, planując wojnę z Niemcami na rok 1942, chciał ją stworzyć, tak jak stworzył republiki: litewską, łotewską i estońską po aneksji tych państw i powołał ich „narodowe” wojsko. Berling miał stanąć na czele tej dywizji. Przykrą niespodzianką był dla niego przebieg pierwszych miesięcy wojny sowiecko-niemieckiej, potem nie było już alternatywy. Trafiał do armii Andersa jako sowiecki agent wpływu, a potem, po jej wyjściu, po-

został w Związku Sowieckim. O ówczesnej działalności Berlinga można mówić źle albo bardzo źle i trudno znaleźć usprawiedliwienia, a jednak w roku 1943, *nolens volens*, dokonał bardzo istotnej rzeczy, wyciągnął kolejnych kilkaset tysięcy ludzi, także cywilów, ze Związku Sowieckiego. W tym sensie był postacią schizofreniczną. Nie ulega wątpliwości, że sterowało nim NKWD, ale nie zatracił całkowicie swojej polskości. Chciał iść na pomoc Powstaniu Warszawskiemu, w 1944 r. protestował przeciwko terrorowi, który zaprowadziło NKWD łącznie z PKWN na tzw. terenach wyzwolonych. A jego żołnierze to byli tacy sami żołnierze jak ci, którzy walczyli pod Monte Cassino. Oni szli do Polski, to była ich głęboka motywacja. Potem, po wejściu Sowieców na tereny II RP, byli to już żołnierze z poboru, więc musieli iść. A 1. Dywizja była *de facto* polskojęzyczną dywizją sowiecką. Berling był mianowany na stopień generalski przez władze sowieckie, składał przysięgę na wierność Związkowi Sowieckiemu.

J.K. – A przedwojennej polskiej kadry oficerskiej było u niego tyle, że można policzyć ją na palcach jednej ręki.

P.W. – Pion polityczny był kierowany przez polskich komunistów, którzy, z punktu widzenia interesów sowieckich, znakomicie się w tej roli sprawdzali, a wojskowy prawie wyłącznie przez Sowieców. Starano się, żeby sowieccy oficerowie delegowani do armii byli „z polskiego klucza”. Często byli to Polacy z pochodzenia i – rzecz zdumiewająca – niektórzy z nich bardzo szybko repolonizowali się, do tego stopnia, że dowódca dywizji kawalerii generał Włodzimierz Radziwonowicz odnosił się wrogo do oficerów narodowości rosyjskiej, popierając oficerów o „reakcyjnych odchyleniach”, czyli wywodzących się z armii polskiej sprzed 1939 r. Więc byli i tacy, którzy wśród tych „kacapów i popów”, jak ich nazywano, stawali się Polakami, ale starannie dbano, żeby ci właśnie bardzo szybko wracali do Związku Sowieckiego, gdzie laury raczej ich nie czekały. Z 1. Dywizji powstał najpierw I Korpus, potem 1. Armia, następnie stworzono 2. Armię. Wojsko było dowodzone przez sowieckich generałów – Karola Świerczewskiego, Stanisława Popławskiego i Bolesława Korczyca. To byli zsowietyzowani Polacy.

B.P. – Na dodatek enkawudziści, przynajmniej Świerczewski...

P.W. – ...który był oficerem wywiadu sowieckiego organizującym przed wojną dywersję przeciwko Polsce...

J.K. – ...a wcześniej walczył jako oficer frontowy przeciwko Polsce w 1920 r.

P.W. – Oni dowodzili na modłę sowiecką, zresztą bardzo źle. Bo szlak bojowy tzw. ludowego Wojska Polskiego był ciągiem klęsk – krwawa porażka pod Lenino, klęska na przyczółkach warszawskich, bezsensowny szturm Kołobrzegu, który spowodował straty nie mniejsze niż pod Monte Cassino...

B.P. – ...i na koniec Budziszyn.

P.W. – Pod Budziszynem to była hekatomba, 2. Armia została tam kompletnie rozbita. Czyli klęska za klęską. A ci nieszczęśnicy – często po 1944 r. byli to zmobilizowani akowcy – bili się o zakończenie wojny, o jakąkolwiek Polskę. Podchodzę do nich z najwyższym szacunkiem, bo oni mieli nie łatwiej niż ci, którzy przedzierali się do Wielkiej Brytanii.

B.P. – Chyba jednak mieli trudniej.

J.K. – Jeżeli chodzi chociażby o apro wizację, wyposażenie i umundurowanie, to mieli gorzej niż ci na Zachodzie, a nawet gorzej od żołnierzy wrześniowych.

B.P. – Wypada przedstawić, choćby w największym skrócie, historię „armii Andersa”.

J.K. – Zanim zdecydowano o tym, dokąd skierować te wojska, nastąpiła – znamienne dla historii Polski w czasie II wojny światowej i jej sił zbrojnych – katastrofa w Gibraltarze i w konsekwencji zmiana w najwyższych władzach państwowych i wojskowych. Gdy pojawił się nowy Naczelnny Wódz, Kazimierz Sosnkowski, zdecydowano o tym, że wyłoniony z Armii Polskiej na Wschodzie II Korpus ruszy do działań na froncie włoskim. W tym celu Sosnkowski odbył swoją pierwszą inspekcję na Bliski Wschód i zanim jeszcze pojawił się u Andersa, rozmawiał z alianckimi dowódcami w basenie Morza Śródziemnego – amerykańskim generałem Dwightem Eisenhowerem i brytyjskim generałem Haroldem Alexandrem – o warunkach użycia II Korpusu w kampanii włoskiej. Uzgodniono wówczas, to był listopad 1943 r., że II Korpus nie będzie używany do wyniszczających działań polegających na forsowaniu silnie umocnionych pozycji, a gdy straty osiągną jakiś poziom, zostanie wycofany. Trzeba pamiętać, że jeszcze w owym czasie możliwości zaciągu czy odbudowania strat były bardzo ograniczone. To ważne w kontekście roku 1944, kiedy ustalenia polskiego Naczelnego Wodza z listopada 1943 r. zostały anulowane wiosną 1944 r.

P.W. – Anulował je właśnie Anders na prośbę Brytyjczyków, nawet nienatętną, była to raczej sugestia, propozycja. Anders wybrał ją na podstawie swoich kalkulacji i sądzę, że element osobisty odgrywał w tym rolę. Chciał pokazać siebie, doszedł do wniosku, że trzeba też pokazać światu Polaków, a Monte Cassino po trzech przegranych przez aliantów bitwach było idealnym po temu miejscem. Nieszczęście polegało na tym, że pokazano się niefortunnie. Pozwolę sobie trwać przy mojej opinii wynikającej z analizy tej bitwy. Polacy nie wygrali bitwy pod Monte Cassino, bo nie zdobyli klasztoru, zajęli pozycje opuszczone przez Niemców, opuszczone nie na skutek polskich, niezwykle krwawych ataków, ale działań francuskiego korpusu ekspedycyjnego, który, jak to się określa w języku wojskowym, „przeskrzydlił” pozycje niemieckie. Niemcy, którzy mieli do wyboru albo dać się otoczyć, albo wycofać, oczywiście wybrali wycofanie. Przez dwa dni Polacy i polska flaga nad klasztorem byli na czołówkach gazet. Wszystkiego dwa dni. Anders, abstrahując od swego dowodzenia, rzeczywiście zdobył sobie pewną markę. Ale jeżeli mówimy o wykorzystaniu politycznym wojska, parę miesięcy później, kiedy jakby ocknął się – bo wtedy, wiosną 1944 r., wierzył bezgranicznie Churchillowi, wierzył Brytyjczykom – i zrozumiał, że alianci wykorzystali nas i chcą wyrzucić na śmietnik, zaczął protestować. W rozmowie z Churchillem usłyszał, a tamten potrafił być brutalny – niech pan sobie weźmie te swoje dywizje, one do niczego nie są nam potrzebne. Taka niestety była prawda roku 1945. Już w 1944 r. aliantom trzy polskie dywizje do niczego nie były potrzebne.

B.P. – Czy to była rozgrywka polityczna, czy to był stan faktyczny?

P.W. – W sensie wojskowym Polacy rzeczywiście nie byli już potrzebni. W 1945 r., kiedy pojawiły się wiadomości, rozprowadane półgębkiem, ale jednoznaczne w treści, na temat

konferencji jałtańskiej, kiedy było jasne na Zachodzie, że Polska została sprzedana, pojawiła się groźba, że Polacy wykonają jakieś szaleńcze gesty, np. zatopią wszystkie polskie okręty znajdujące się w portach brytyjskich. Na czas konferencji jałtańskiej cała polska marynarka poszła do remontu, na doki, gdzie nie można było takiej operacji wykonać, a załogi wyokrętowano.

J.K. – Oddziały frontowe skierowano na bierne odcinki frontu...

P.W. – ...dobrze ubezpieczane przez sąsiednie jednostki. Polacy nie przeszli na stronę niemiecką i nie wykonali desperackich aktów. Przytoczę tu bardzo ciekawą, charakterystyczną rozmowę komandora Bohdana Wrońskiego, wtedy dowódcy ORP „Ślęzak”, z jednym z admirałów brytyjskich. Anglik prywatnie zapytał, na czym polega ta cała sprawa Kresów Wschodnich. Wroński powiedział mu, że Lwów jest najbardziej polskim ze wszystkich polskich miast i że utrata Lwowa jest właściwie poderżnięciem gardła Polsce, że znajdują się tam katedry trzech wyznań, uniwersytety, wyższe szkoły, że jest to centrum kultury, kolebka polskiej historii. Warto przypomnieć, że tak bardzo nieprzychylny Polsce polityk jak Anthony Eden też miał wyrzuty sumienia, że Brytyjczycy zezwolili na to, by Lwów odebrano Polsce i подарowano Związkowi Sowieckiemu. A czy Polacy byli niepotrzebni? Koalicja nie zatrząsnęła się, gdyby armia polska zeszła z frontu. To była koncepcja Sosnkowskiego. Ja osobiście sądzę, że właściwie po 1943 r., po Teheranie, a na pewno po Jałcie, trzeba było przestać się bić. Każda kropla krwi była rozlewana rozrzutnie, już w obcym interesie, nie polskim, bo wojna potoczyłaby się do końca w równym tempie bez udziału Polaków. A po naszych ogromnych stratach każdy następny zabity to już nie była strata, to już była katastrofa. Tutaj schyliłbym głowę przed gen. Sosnkowskim, który może nie potrafił znaleźć recepty na dobre rozwiązanie sprawy polskiej, ale widział wszelkie mielizny i starał się przynajmniej uniknąć tego, co najgorsze. Po 1945 r. nie mogliśmy już uratować granic. Trzeba było ratować ludzi.

B.P. – Niemniej polscy żołnierze bili się.

P.W. – Bili się. Bardzo dobrze, jak „maczkowcy”, jak II Korpus w drugim etapie kampanii włoskiej, w której poniósł pod Bolonią większe straty niż pod Monte Cassino.

B.P. – Mimo świadomości politycznych rozstrzygnięć dzielących świat istniała nadzieja na III wojnę światową.

P.W. – Gdyby nie bomba atomowa, to najpewniej wojna by wybuchła i ta kalkulacja by się sprawdziła. Wspomnę tu o jeszcze innej rzeczy. Kiedy padł przepiękny, odzwierciedlający polską rację stanu wrześniowy rozkaz gen. Sosnkowskiego, wydany na okoliczność pozostawienia samym sobie warszawskich powstańców, na żądanie brytyjskie prezydent Raczekiewicz odwołał Sosnkowskiego z funkcji Naczelnego Wodza. W odwecie za to jeden z wiceministrów, Wierusz-Kowalski, spoliczkował prezydenta. To był akt bezsilnego protestu.

J.K. – Raczekiewicz, wręczając dymisję Sosnkowskiemu, miał powiedzieć: „Wiem, że popełniam czyn niegodny, ale niech Bóg Najwyższy będzie mi świadkiem, że nie mam innego wyboru”.

P.W. – A tak między nami – miał wybór, bo mógł tego nie zrobić. Ciekawe, jak zareagowaliby na to Brytyjczycy?

J.K. – Trzeba pamiętać, że cała prasa brytyjska była przeciwko Naczelnemu Wodzowi, ale na szczeblach wojskowych, z wojskowymi brytyjskimi nie było animozji.

Okazuje się, że premier Mikołajczyk prowadził całą kampanię zmierzającą do utracenia nie tylko personalnie samego Sosnkowskiego, którego nie cierpiał, ale w ogóle stanowiska Naczelnego Wodza. Sosnkowski i Mikołajczyk to były absolutnie różne osobowości, ludzie niemający ze sobą praktycznie nic wspólnego, żadnej płaszczyzny porozumienia, choć niewątpliwie obu zależało na dobru Polski. Przy czym wizje Mikołajczyka nawet prostym żołnierzom wówczas wydawały się nie do spełnienia. Cała jego nagonka, żeby utracić Sosnkowskiego, rozpętana była już wcześniej, ale punkt kulminacyjny osiągnęła w czasie Powstania Warszawskiego. To właśnie ten słynny „Rozkaz nr 19” Sosnkowskiego, *nomen omen* wydany 1 września 1944 r., w piątą rocznicę rozpoczęcia wojny, nie przypadkiem oczywiście (choć ogłoszony 4 września) posłużył Mikołajczykowi jako pretekst, by utracić Sosnkowskiego, bo rzekomo, według interpretacji premiera, słowa rozkazu miały obrażać naród polski. To był kompletny absurd. Czy Raczkiewicz miał inny wybór? Mógł zmienić rząd, była taka koncepcja. Na początku września 1944 r. Sosnkowski czuł się mocno mimo tej nagonki.

P.W. – To wiemy dzisiaj, tego niestety nie wiedział Sosnkowski wtedy, że znaczna część prasy brytyjskiej była inspirowana przez sowiecką agenturę wpływu. Sosnkowski był *persona non grata* dla Stalina, który robił wszystko, żeby się go pozbyć, widział w nim groźnego przeciwnika. O ile nie bał się Mikołajczyka, wiedział, że zrobi z nim to, co będzie chciał, o tyle wiedział, że z Sosnkowskim mu się nie uda. Cała strategia Stalina od 1941 r. polegała na podważeniu pozycji i eliminacji Sosnkowskiego. To był może nawet jego główny cel personalny w polityce polskiej. I tutaj Mikołajczyk nieświadomie odegrał rolę człowieka działającego w interesie Związku Sowieckiego, bardzo paskudną. Dla mnie jest postacią dwuznaczną, nie mam do niego zaufania ani zbyt wiele sympatii, choć dostrzegam jego wysiłek w dokonywaniu bardzo trudnych wyborów w latach 1944–1945. Trzeba szanować jego decyzję o powrocie do kraju, bo wchodził w paszczę lwa.

J.K. – Ciągnął za sobą żołnierzy z Zachodu, namawiał do powrotu. Sam wy dostał się w 1947 r. cichcem z Polski, a oni często za decyzję powrotu płacili wysoką cenę.

P.W. – Do tej pory nie jest jasne, dlaczego pozwolono mu uciec czy wyjechać. Mam swoją prywatną koncepcję w tej sprawie. Uważam, proszę się nie śmiać, że Stalin był człowiekiem honoru w pojęciu dziewiętnastowiecznym. Był zbrodniarzem, to bezdyskusyjne, ale na ogół dotrzymywał słowa i można to udowodnić. Stalin dał Churchillowi osobiste gwarancje bezpieczeństwa dla Mikołajczyka. W ucieczce Mikołajczyka maczały palce wywiad i służby specjalne „Polski ludowej”, ale z pełną wiedzą służb sowieckich. Chodziło o to, żeby nie został w kraju, żeby nie robić z niego męczennika, a bardzo łatwo było go później ośmięczyć, jako kogoś, kto pozostawia najbliższych na pastwę bezpieki.

B.P. – Wracając do wojny, warto przypomnieć też, że Polacy do 1944 r. uczestniczyli w północnych konwojach aliantów z pomocą dla Związku Sowieckiego.

J.K. – Przy czym od 1943 r., po zerwaniu polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych, nie mieli prawa zawijania do Murmańska. Wcześniej, w 1942 r., niszczyciel ORP „Garland” wstąpił się w obronie konwoju „PQ 17”, odpierając ataki Luftwaffe. Remontował uszkodzenia w Murmańsku, a ranni marynarze byli jeszcze leczeni w tamtejszych szpitalach i później wrócili do Anglii. W konwoju dla Sowieków polska marynarka poniosła swoją największą stratę w historii II wojny światowej – w październiku 1943 r. został zatopiony przez U-Bootów niszczyciel ORP „Orkan”. Z załogi liczącej ponad 220 marynarzy uratowano zaledwie czterdziestu czterech.

B.P. – **Dlaczego nie podjęto decyzji o zwolnieniu z obowiązku walki polskich żołnierzy po 1944 r.?**

P.W. – Po dymisji Mikołajczyka, w momencie kiedy powstał „rząd odmowy” Tomasza Arciszewskiego, chodziło o utrzymanie nienagannego stanowiska zdradzonego sojusznika, czyli danie świadectwa dla historii, dla opinii publicznej. Ale też nazywajmy rzeczy po imieniu, chodziło o to, żeby stworzyć dobre warunki dla adaptacji tym Polakom, którzy nie będą chcieli wracać do kraju i zostaną w Wielkiej Brytanii. O tym myślano w 1945 r. bardzo powszechnie.

J.K. – Chodziło też o rozwój sił zbrojnych, bo zakładano, że ta armia będzie na emigracji czekała na III wojnę.

P.W. – Anders w nią wierzył do mniej więcej 1946 r. Były tego pewne racjonalne podstawy. Znajomość Rosji wskazywała, że nie zatrzyma się na wyznaczonych granicach, tylko będzie chciała ruszyć dalej i będzie musiała napotkać przeciwdziałanie Zachodu. To, że wojna nie wybuchła, było wynikiem szantażu atomowego.

B.P. – **Danina polskiej krwi w czasie II wojny światowej nie zapewniła nam miejsca w gronie zwycięzców.**

P.W. – Żołnierze weszli do historii, tego miejsca nie da się im zabrać, ale nasi politycy nie potrafili tego wykorzystać. Istnieje znaczna niewspółmierność między ich wysiłkiem, często na granicy możliwości, z efektami działań dyplomatycznych. Oczywiście, pole manewru było ograniczone, ale na pewno istniejące możliwości nie do końca zostały wykorzystane, choćby w 1941 r., ale nie tylko wtedy. Myśmy nie potrafili rozmawiać twardym językiem z naszymi sojusznikami. Nasi politycy zachowywali się tak, jak Churchill opisał to w odniesieniu do Mikołajczyka, że zachowuje się jak kamerdyner, którego zawsze można wyrzucić za drzwi. To charakteryzowało polskich polityków w stosunkach z aliantami, oprócz generała Sosnkowskiego. Efekt był taki, że w 1945 r. znaleźliśmy się poza jakąkolwiek grą polityczną, wykluczeni z niej w sposób haniebny dla aliantów. W polityce robi się różne rzeczy, ale jakieś pozory trzeba zachować i mieć szacunek dla przelanej krwi, a nawet tego zabrakło, bo na defiladzie zwycięstwa w 1946 r. w Londynie Polaków nie było. A co do strat – przecież my naprawdę nie wiemy, ilu obywateli polskich zginęło w II wojnie światowej – zginęło w walce, zmarło, zostało zamordowanych, przepadło bez wieści. Sześć milionów to liczba wzięta całkowicie z sufitu. Trzeba wreszcie policzyć nasze straty w II wojnie światowej. To gigantyczna praca, ale konieczna.

J.K. – Mimo że straty są niepoliczalne w sensie fizycznym, ale niewątpliwie można do nich zaliczyć też emigrację i utratę dla Polski uratowanych w czasie wojny dzieci, tych, które

znalazły się w Nowej Zelandii, w Indiach, w obu Amerykach, dziś ludzie siedemdziesięcioletnich. Pięciu synów gen. Sosnkowskiego służyło zamorskim potęgom. Zapewne nie o takiej karierze dla nich myślał ich ojciec.

P.W. – Tragicznym skutkiem emigracji była dodatkowa utrata dla Polski własnych elit. Najpierw Katyń, potem kwiat krajowej młodzieży padł w Powstaniu Warszawskim, a wszyscy inni, którzy mieli siłę, chęć przedzierania się na Zachód, ci najbardziej ambitni, najbardziej patriotyczni, w ogromnej większości, jeśli nie zginęli gdzieś tam w afrykańskich piaskach czy we włoskich górach, to pozostali na Zachodzie. I nie udało się nam szybciej zrzucić komunistycznego jarzma, ani w 1956 r., ani w kolejnych latach tzw. przełomów. Gdyby nie utrata elit, wszystko wyglądałoby inaczej, Polska wyglądałaby inaczej...

J.K. – Gdyby kampania wrześniowa wyglądała inaczej...

ROK GENERAŁA ANDERSA

„Generał Władysław Anders, owiany żołnierską sławą dowódca Armii Polskiej na Wschodzie, dowódca Drugiego Korpusu Polskiego, a następnie Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych, jest symbolem chwały żołnierza polskiego walczącego nieugięcie o wolność i niezawisłość Rzeczypospolitej. Uosabia także niezłomną postawę Polaków na obczyźnie, ich tragizm oraz wierność ideałom, o które walczył Naród Polski” (z uchwały Senatu RP).

Urodził się we Lesznie kutnowskim (1892). W armii polskiej w Rosji (korpus gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego) dowodził pułkiem Ułanów Krechowickich, po czym został szefem sztabu 1. Dywizji Strzelców. Powrócił do Polski, otrzymując przydział do sztabu Armii Wielkopolskiej. Był przeciwnikiem użycia Armii w odsieczy Lwowa, broniącego się przed Ukraińcami, forsując uderzenie na Gdańsk. Odszedł do linii jako dowódca 15. pułku Ułanów Wielkopolskich, w wojnie z bolszewikami ciężko ranny, odznaczony Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyżem Walecznych. Generał od 1934 r., następnie dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii.

Po kampanii wrześniowej więziony w lwowskich Brygidkach, od 1940 r. na moskiewskiej Łubiance. Zwolniony po układzie Sikorski-Majski, 4 sierpnia 1941 r. Wyznaczony został dowódcą Armii Polskiej w ZSRS. Stał się rzecznikiem „wyjścia” armii do Iranu; został dowódcą Armii Polskiej na Wschodzie. Jako dowódca 2. Korpusu zadecydował samodzielnie o udziale Polaków w bitwie pod Monte Cassino. Był przeciwnikiem decyzji o rozpoczęciu powstania w Warszawie w 1944 r. Po dymisji gen. Sosnkowskiego i mianowaniu Naczelnym Wodzem gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, przebywającego w niewoli niemieckiej, pełnił jego obowiązki.

Do 1954 r. piastował stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Od 1949 r. był przewodniczącym Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Od 1953 r. prezes Rady Polskiej Macierzy Szkolnej; przewodniczący Polskiej Fundacji Kulturalnej. W 1954 r. wszedł w skład Rady Trzech. Animator Zjazdu Polski Walczącej w ramach uroczystości Milenium Chrztu Polski (19 maja 1966 r.), którego uczestnicy uchwalili m.in. apel do Zachodu o uznanie granic Polski na Odrze i Nysie. Zmarł w Londynie 12 maja 1970 r., pochowany 23 tm. pod Monte Cassino.



JŻ